ROZMAITOŚCI.

Dnia 8 maja, N.ʳᵉʳ 19. roku 1847.

Trzy dni nad brzegami Orinoku.

(Dokończenie.)

Płynąc ku przeciwległemu brzegowi, obaczono na samym środku rzéki wysoką, granitową skałę, ocienioną ogromném i rozbujałém drzewem *manguar*, którego szeroko-rozłożyste gałęzie aż ponad samą powierzchnię wody wybiegały. William miał niepohamowaną ochotę wydostać się na tę skałę, i na niéj zanocować. Niezliczone mnóstwo wszelkich owadów, nie dało mu przeszłéj nocy ani chwili spokojnie zasnąć. W cienistych konarach poblizkiego manguaru, można było z łatwością rozpiąć skórzaną matę, tak zwany hamak, a wysokość drzewa chroniła od moskitów i reszty owadów, których roje zwykle w górę się nie wzbijają, i tylko nizko ponad poziomem nieustannie wirują. Tam więc w rodzimo-zielonym, gęstém i dużém liściem okrytym chłodniku, przy łagodnym fal poplusku, chciał William rozkosznie noc przepędzić. Perez nie miał nic przeciw temu, i owszem kazał Zambosom u wierzchołku, o pięćset kroków oddalonego manguaru, czémprędzéj hamak zawiesić, i zostawiwszy Williama na skale, odpłynął z orszakiem ku wybrzeżu, gdzie miał nazajutrz zwierzyny upolować, gdyż już na żywności zbywać zaczęło.

Jakże zadziwiający widok roztoczył się teraz przed samotnym pośród rzéki Williamem, gdy już po uwiązanéj linie dźwignął się na drzewo. Dla tém zupełniejszego użycia go, wylazł jeszcze wyżéj nad przygotowane sobie, tak zielone i tak błogo chłodne łoże, że żaden książę indyjski nie mógł sobie lepszego życzyć. Ztamtąd ujrzał skróś gałęzi najpiękniejszą, otwierającą się po obu stronach rzéki panoramę. Po lewym, południowym brzegu, bujało oko po nieprzejrzaném morzu zieleni, gdzieniegdzie ciemniejszémi borami i kłąbami krzewów nastrzępionéj, a wpółkolu rąbkiem ciemnego pogórza ubramowanéj. Z północnéj strony widać było przepyszne ujście rzéki Kapanaparo, wpływające szeroką gardzielą do Orinoko; widać było sterczące ponad wodami dalekie szeregi skał potwornych, uwieńczonych rozłożystémi drzewami. U stóp tych zielonych kęp łamały się z szumem fale Orinoku, ponad ich źwierciadłem wiły się roje tropicznych owadów, wtórząc swojém brzmieniem szumowi wody, a górą w powietrzu szybowały wielkie stada ptactwa: papug, jastrzębi, dzikich łabędzi i t. p. które jużto razem ponad rzéką krążyły, jużto pojedyńczo za łupem goniły, lub swoich gniazd szukały. Powoli schyliło się słońce poza góry, a powietrznia mgłą się obłokła, zapowiadając nadejście pory dżdżystéj. Ostatnie promienie zachodu, łamiąc się w mglistém przestworzu, mieniły się tysiącznémi barwy, a William, zachwycony tym widokiem, kołysząc się rozkosznie śród gałęzi, oddał się marzeniu o przeszłém szczęściu swojém. Jednakże od czasu do czasu dawał mu się słyszeć zdaleka jakiś huk głuchy; który jakby z tych odwiecznych wokoło otaczających go borów dolatywał. To go zdziwiło, i zaczął nadsłuchywać. Huk ten stawał się coraz głośniejszym, i obiegał nito echo oddalonych gromów po kresach widokręgu. Tak trwało długą chwilę, aż oto za jednym razem przeraźliwy błysk rozkroił zatoczoną chmurę, a cały widokrąg spłonął siarczystym płomieniem. Od południowéj strony odzywał się głuchy huk grzmotu. — Byłato okropna, majestatyczno-uroczysta chwila, w któréj wszystkie siły natury przeciw sobie srogo powstając, podobnie starożytnym Tytanom w bój się zabierały. Pod Williama nogami szumiał rozhukany strumień rzéki, i robiąc rozgarbionémi falami, tłukł dziko o najeżoną skałę, jakby ją w kawały roztrzaskać usiłował; mgliste rozpary wody, rozdęły się w szare bałwany i zaległy grobowym całunem wszelką widoczność; od południa nadciągały wolnym posuwem, szaro-siarczyste, w różne kształty olbrzymio spiętrzone chmur bryły; jakby ponad ziemię ciężko nadciągała — z posady swojéj jakim wulkanem oderwana — gór niebotycznych ławica. Jakkolwiek bardzo spaniałym, i nad wyraz zachwycającym był ten widok rozdąsanéj natury, przecież jakiś trwożliwo-nagabny duch wkradł się w przeczucie Williama, i uczynił go mocno niespokojnym,

że wśród wszczynającéj się żywiołów walki, sam jeden, na nagiéj, głębią otoczonéj skale, pozostał. Tymczasem okropność zbliżała się coraz bardziéj. Coraz głośniéj dawał się słyszéć straszny odtęt grzmotu, a na puszczy okropny ryk zjadłego jaguara. Ptactwo wszelkiego rodzaju z opuszczonémi skrzydły, ciągnęło ponuro ponad rozbujały prąd rzéki; ryby wybłyskiwały ponad powierzchnią wody; tu owdzie wyściubił z powodzi krokodyl potwórną głowę, i rozdziawił swą paszczę dla nabrania powietrza, ale skoro tylko w górze grzmot zahuczał, już się i on wgłąb z przestrachem zanurzył.

Zmiérzch wieczorny i ciemność burzy pokryły wszystko oponą czarnéj nocy. William posilił się wziętym zasobem pokarmu; ale z przezorności, zostawił część jakąś na dzień jutrzejszy, gdyby po niego Perez wcześnie nie przybył. W powietrzu coraz bardziéj i nieustannie wrzało; błyskawice oświetlały okropny zamęt natury, ale wybuch chwiał się jeszcze zawieszony; niekiedy tylko padła ciężka dżdżu kropla. William znużony, przykrywszy się płaszczem, i rozciągnąwszy się w swym wiszącém, gęstém liściem okrytém łóżku; oddał się opatrzności i błogiego snu ramionom; jakoż niedługo trwało, a lekki powiew wiatru i poszepny szelest liścia, wkrótce go uśpiły.

Jak długo spał, nie wiedział; gdy nagle tuż koło niego straszliwe uderzenie piorunu go przebudziło. Zarazem okropna lunęła powódź, i wnet tak cały hamak zalała, że mu się zdało, jakby w przepełnionym wodą miechu był zaszytym. Na wskróś przemokły, zerwał się żywo i uciekając z tego więzienia, spiął się na wyższą gałęź, gdzie pod gęstszym pokładem liścia, spodziéwał się od natarczywéj ulewy być bezpieczniejszym. Noc otaczała go wokoło, a drzewo tak oślizło, że dla bezpieczeństwa, przywiązał sobie jedno ramię chustką do gałęzi. Okropne było jego położenie, a tém okropniejsze, że śród łoskotu burzy, odzywał się i ryk jaguara. Przecież po tak długiéj i straszliwéj nocy, cokolwiek dnieć zaczęło, a przemokły i dreszczą przejęty, ujrzał William niedaleko siebie dwa błyszczące punkty, które dziwnie tam i sam się ruszały. Wkrótce okazało się, iż to były oczy jakiegoś, na poblizkiéj gałęzi siedzącego zwiérzęcia. William tém przestraszony, nie miał jeszcze czasu przypatrzéć się dokładnie swojemu tajemniczemu sąsiadowi, gdy oto nagle zdołu ozwał się ryk tygrysa, czyli jaguara, który przepłynąwszy rzékę, zwietrzył zdobycz swoję, i chciwie krążył wokoło drzewa, szukając sposobu wdrapania się na nie. William skostniał ze strachu! Wkrótce zaszeleściała jedna ze spodnich gałęzi, pochwycona w skoku pazurami tygrysa, po któréj zapewne w górę wedrzeć się usiłował. Byłato okropna dla Williama chwila, tém niebezpieczniejsza, im bliżéj łomot gałęzi i zjadłe ziajanie tygrysa słyszéć się dały. Przestrach Williama musiało zapewne i owo tajemnicze źwierzę o błyszczących oczach podzielać, gdyż po nagłém ich zniknięciu, należało wnosić, że trwożnie do swéj kryjówki uszło. Naraz zatrzeszczała gałąź, liście szumniéj zaszeleściało, a jakieś ciężkie ciało spadło głucho na ziemię, i wszystko znów ucichło. Z śmiertelném natężeniem wszystkich sił słuchał William, nie wiedząc czy niebezpieczeństwo już minęło, czy też jeszcze bliżéj się podkradło. Jednakże nic się już nie ozwało, a wśród tego trwożnego oczekiwania, dzień zupełnie zaświtał i deszcz ustał.

Lecz cóż mu to pomogło. Jak daleko bowiem oko sięgało, ujrzał William całą okolicę grubym całunem mgły osłoniętą. „Jakże więc zdołają mnie towarzysze moi odszukać na téj samotnéj skale,” — pomyślił sobie — „przypuściwszy nawet, że będą w stanie pokonać gwałtowność bałwanów burzą rozhukanéj rzéki.” — Im bardziéj William nad tém się zastanawiał, tém widoczniéj stawało mu przed oczy niebezpieczeństwo jego, zwłaszcza że coraz bardziéj uczuwał fizyczne wysilenie swoje. Będąc nadzwyczaj głodem trapiony, zlazł napowrót do hamaku, aby się schowaną tam żywnością cokolwiek posilić. Ale przemokły na deszczu chleb, rozmiękł się w ciasto, a kawałek pozostałéj źwierzyny, już się psuć zaczął. Tylko butelka araku przechowała się cało, i tém też jedynie pokrzepił siły swoje.

Co uczyniwszy, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko spokojnie zmiany powietrza i przybycia przyjaciół oczekiwać. Dla zabezpieczenia się zaś od drapieżnych źwiérząt, któreby znowu napastować go mogły, uciął dużym myśliwskim nożem sporą gałęź, i przyciesał ją ostro na jednym końcu, na drugim zaś gruby jéj sęk umyślnie zostawił, aby w wielkiéj potrzebie, mógł jéj użyć jako spisę lub jako maczugę.

Śród tego zatrudnienia ujrzał William znowuż pomiędzy gałęźmi dwie błyszczące gwiazdki, podobne do świecących topazów. Niewątpliwie byłyto oczy tego samego źwiérzęcia, które już go w nocy tak mocno przestraszyło, a teraz go tém większą trwogą zdjęło, iż chcąc sobie przemokłe nieco osuszyć suknie, spuścił był nóż z przyciesaną gałęzią na dół do hamaku. Nie śmiąc się więc ani ruszyć, przyczaił się na konarze, i wlepił oczy w owe dwie gwiazdki, które przy coraz głośniejszym szeleście liści, coraz bliżéj ku niemu się przysuwały. Nagle odchyliły się gałęzie, a zpomiędzy nich wymknęło się do połowy ciało *iguany*, ogromnego rodzaju jaszczurki amerykańskiéj. Od dzieciństwa była jaszczurka dla Williama źwiérzęciem, od którego niepokonany wstręt uczuwał. Można sobie wyobrazić, o ile ten wstręt zwiększyć się musiał na widok olbrzymiego w porównaniu ze zwyczaj-

ną jaszczurką zwierzęcia, którego głowa dochodziła wielkości głowy psa średniego Jakoż omal przytomności nie stracił, postrzegłszy że jaszczurka, bynajmniej obecnością człowieka nie przestraszona, wprost ku niemu sunęła, jakby się po nim przemknąć chciała. Tylko uczucie wstydu, iż on, który rzeczywiste niebezpieczeństwa miał do zwalczenia, urojonych się lęka, opamiętało go poniekąd; znał bowiem nieszkodliwość tych zwierząt. Naraz stanęła ignana, co William mniemał być znakiem, że właśnie teraz skoczyć nań zamierza. W ostatniéj więc trwodze zaczął się po gałęzi w tył cofać, myśląc niepostrzeżenie na niższą gałęź się spuścić, i w ten sposób ujść niemiłego zetknięcia się z jaszczurką. Ale któż zdoła opisać zgrozę jego, gdy ostrożnie poza siebie spojrzawszy, obaczył tuż za plecyma drugą, jeszcze większą i obrzydliwszą iguanę, która zdziwiona swémi jaskrawémi oczyma weń się wpatrywała, i figlarnie zielonkowatym kręciła ogonem. Tak wstrętliwie przerażony, siedział William jakby zaklęty pomiędzy obudwoma nieprzyjaciołmi, którzy go z przodu i z tyłu oblegli. Głód, bezsenność, zupełne wycieńczenie sił, odjęły mu wszelką władzę powzięcia śmiałego postanowienia, a tak, wlepiwszy nieruchomo wzrok w otaczające go potworki, oczekiwał wpółmartwy końca przygody.

Tymczasem słońce coraz wyżéj wschodziło, a mgły przerzedzać się zaczęły. Widać już było niższe konary manguaru i rzékę, która jednakże skutkiem nocnéj ulewy, tak wysoko przybrała, że rafa granitowa, służąca Williamowi za schronienie, już w wielu miejscach w wodzie się kryła. Smutnyto był widok dla Williama, gdyż przeciw temu nawalnemu wezbraniu, mały statek Pereza oczywiście podołać nie mógł, przeco też nadzieja rychłego wybawienia, coraz więcéj znikała. Wszakże jestto często już doświadczoną, aczkolwiek nieodgadniętą prawdą, że im niżéj szala szczęścia ludzkiego spada, tém przemożniéj wznosi się szala nadziei, i i dzięki téjto właściwości natury ludzkiéj, zachował William do ostatka otuchę i moc, jeźli nie pokonania, przynajmniéj zniesienia grożących niebezpieczeństw.

Powoli mgły się rozjaśniły, i ciemny zarys brzegów już się był na widokręgu odcieniował. Ale im bardziéj obłoczne tumany ustępywały, tém rozleglejszy widok zalewu, przedstawił się zatrwożonemu oku Williama. Wszystkie granitowe skały, wczoraj wysoko z wody sterczące, były dziś zalane: ujście rzéki Kapanaparo do Orinoku wbiegającéj, znikło, a widoczny wprzódy przylądek między obudwoma rzékami, jako też cała okolica, tworzyły jedno ogromne jezioro. Podobnież nie można było dostrzedz ani miejsca, gdzie Perez wczoraj do brzegu przybił, ani też statku samego, który zapewne rzéka uniosła Jakże więc mógł Perez przy najgorliwszéj chęci przyspieszyć w pomoc Williamowi? Chyba tylko cud go ocalić zdołał. Ale dla czegoż nie miałby się był cudu spodziewać, gdy oto właśnie zdarzył się przed jego oczyma wypadek wcale cudowny. Jeszcze bowiem wciąż drżący siedział pomiędzy obudwoma iguanami, aż tu coś zaszumiało w liściach, a ogromny orzeł pornął z góry na jednę z jaszczurek, chcąc ją łupem porwać. W oka mgnieniu pierzchnęła druga potworka, a piérwsza, pochwycona w drapieżne szpony, zaledwie po długiém szamotaniu, wydarła się już w powietrzu swemu srogiemu porywcy, i spadłszy w wodę, zniknęła.

Teraz i tam w dole na wodzie u stóp manguaru ożywiła się scena. Mnóstwo jastrzębi, flamingów i innych ptaków wodnych, pluskało po falach wokoło drzewa; całe trzody żółwiów z wysterczającémi z wody grzbietami pływały po Orinoku; a w powietrzu przeraźliwie skrzecząc, szyły roje szkaradnych nietoperzy. Daléj, od zieleniących się gdzieniegdzie wybrzeży, puszczały się wpław trzody *lamas*, i innéj lekkiéj zwierzyny, płynąc ku przeciwnemu brzegowi, czém przebudzone ze snu krokodyle szybko się wynurzały zpod wody, i w dal za łupem goniły. Atoli nie jeden z nich, nim jeszcze dopadł zdobyczy, został sam od drapieżnego jaguara opadnięty, i musiał okropną z nim staczać walkę, w któréj wnet ten, wnet ów przeciwnik ulegał. Niekiedy też obaj pierzchali czémprędzéj przed czarnym potworem *foka*, który z pomiędzy skał w rzece się wynurzywszy, jak duża, ciemno-błotnista kępa, ku nim się toczył.

Mimo niebezpiecznego, a nawet rozpaczliwego położenia, w jakiém się William znajdywał, zajmowało go widowisko tego rożnorodnego, potwornego życia natury tak mocno, iż poniekąd o własnym stanie zapomniał. Chociaż mu Perez wiele już o zjawiskach tutejszych okolic opowiadał, przecież rzeczywistość, wszystkie te powieści daleko przewyższała. Wszakże tém przykrzejszą stawała się samotność człowieka w tym chaotycznym zamęcie żywych ale bezdusznych stworzeń Byłoto niejako towarzystwo obrzydłych straszydeł, które w ostateczném spotworzeniu, życie natury ludzkiéj naśladują, i niby szkaradą swoją urągać mu się zdają Wkrótce też straciło to widowisko dla Williama swój powab nowości, i pozostawiło mu tylko przykre wrażenie, które ciągłém powtarzaniem się tegoż samego obrazu, jeszcze bardziéj się wzmogło. Zapadł więc w ponure, smutne marzenia, w ową otrętwiałość umysłu, która w podobnym razie, najdzielniejszy umysł ogarnąćby zdołała.

Z tego osłupienia przebudził Williama blizki ryk jaguara, który podpłynąwszy pod drzewo, znęcony węchem zdobyczy, okrążał chciwie pień manguaru, i upatrywał najdogodniejsze do wydrapania się na

wierzch miejsce. Nie mogąc go od razu znaleźć, przysiadł na tylnych łapach, a przednie podniosłszy w górę, oparł wygodnie o drzewo, jakby się do walki przysposabiał. Poczém zerwał się znowu, podskoczył kilkakrotnie, rzucił się na ziemię, i zaczął tarzać się z rozkoszą, aż rozgrzany, rozbestwiony, stanął znowu z iskrzącym wzrokiem, robiącą piersią, i wywalonym językiem, u stóp manguaru. William ujrzał tego nowego nieprzyjaciela wprawdzie z przestrachem, lecz bez owéj nerwowéj odrazy, jaką czuł w obec jaszczurek. Wiedział on, iż to wróg niebezpieczny, ale przecież nie taki, z którymby nie śmiał stanąć do boju. Usunął się więc zcicha do hamaku, uzbroił się swoim przyciosanym kosturem, i usadowił wygodnie pomiędzy dwoma konarami, tak, aby poniekąd od nieprzyjaciela był zakrytym, lecz oraz mógł go w potrzebie, zdala dosięgnąć. Tymczasem tygrys, coraz to więcéj rozbestwiony, ile że już zoczył Williama, zabiérał się wszelkiémi siłami do natarcia; toczył żółto zielonémi oczyma, wyciągał się i garbił pożądliwie, a wreszcie oparłszy się o przednie łapy, a tylne wciągnąwszy w siebie, zaczął gwałtownie bić ogonem o ziemię; aż oto jednym razem, zebrawszy wszystkie siły, skoczył potężnie ku drzewu w górę. William wzdrygnął się z przestrachu, gdyż zdało mu się, że tygrys tym sprężystym skokiem, już go był dosięgnął. Wszelako nie wyskoczył on wyżéj jak do połowy pnia, i wtopiwszy ostre pazury w korę, jął się chytrze i zwolna wdziérać coraz wyżéj wprost ku Williama kryjówce, tak dalece, że tenże ziejącą z jego rozwartéj paszczy parę już poczuwał. Wlepiwszy więc oczy w tygrysa, który ciągle wężowym ruchem przednie łapy o korę coraz wyżéj zaczepiał, a tylną część ciała za niémi pociągał, i prawie o jeden tylko skok był już od swojéj zdobyczy oddalonym; odchylił William ostrożnie tylną gałęź, aby miał wolne miejsce do rozmachnięcia się i do zadania ciosu, a nóż, mogący mu w ostatnim razie za sztylet służyć, wetknął tuż koło siebie w drzewo. Gdy się już tygrys dość blizko podsunął, William wzniosłszy gruby koniec kostura do góry, tak go silnym zamachem w mordę uderzył, iżby tém uderzeniem mógł był wołu zagłuszyć. Wszelako tygrys na to tylko się skurczył, i bokiem wokoło drzewa gibkiém owinął się ciałem, lecz ani o piędź się w dół nie cofnął, i ból swój krótkim tylko, stłumionym rykiem pojawił. William wytężył rękę do powtórnego ciosu, atoli przeciwnik jego zwrotnie się mu uchylił, i siedział już po drugiéj stronie drzewa, gdzie go, nie zmieniwszy zarówno miejsca, trudno było dosięgnąć. Tymczasem chytry jaguar przysposabiał się do nowego napadu. Aby go William powtórnie w głowę ugodzić nie zdołał; wsunął chytrze nozdrza pod gałąź, a łapę wyciągnął naprzód, chcąc się nią o pierwszą wyższą gałąź zahaczyć, i bliżéj ku Williamowi podsunąć. Uderzeniem z góry maczugą, nie można już było szkodzić nieprzyjacielowi; inny rodzaj natarcia, wymagał też innego sposobu obrony. Przeto obrócił William kostur drugim końcem, i umyślił użyć go jako ostréj spisy. Upatrzywszy więc otwór pomiędzy gałęźmi, którędy tygrys mimo oszańcowania swego, dał się dosięgnąć; skorzystał z téj chwili, kiedy źwiérz na przyległy konar właził, i wtedy utkwił mu z całéj siły ostry koniec kostura w samą gardziel otwartéj paszczęki. Pchnięcie to było tak dobrze wymierzone, że się ostrze głęboko w mięso wraziło, a tygrys okropnie ryknął. Przecież przez chwilę próbował on jeszcze oprzéć się kosturowi, i piąć się całą siłą w górę, tém głębiéj jeszcze ostrze w siebie wbijał, a przeto samo musiał się wreszcie o kilka stóp niżéj cofnąć. Skoro jednak tym sposobem od ostrza się oswobodził, i ból ustał, jął się tém wściekléj do dalszéj walki; wyprężył szyję, jakby tém boleść chciał stłumić; ściągnął się w kupę jak do skoku, i w istocie tak wysoko się podrzucił, że już jedną łapą koniec konaru był pochwycił, na którym jego przeciwnik siedział. Na to nie był William przygotowanym. Już teraz kostur na nic mu się nie przydał. Na szczęście nie stracił przytomności, i wyrwawszy szybko nóż z drzewa, wepchnął go raźno aż po rękojęć w lewe oko tygrysowi. W okropnym bolu ryknął źwiérz przeraźliwie, wypuścił gałęź z łapy, i bił ogonem na oślep wokoło siebie. Ale William ochronił się szczęśliwie od tych ciosów, które tylko zlekka w rękę go zadrasnęły, a jaguar w tył się nieco zatoczył. Teraz była pora zadać mu cios stanowczy; jakoż nie omieszkał też William z niéj korzystać. Pochwyciwszy znowu kostur, wetknął go spiczastym końcem w zakrwawione ślepie tygrysa, i przycisnął go całym ciężarem ciała. Zraniony źwiérz chciał szybko w tył ustąpić, ale przyparty kosturem, i omroczony boleścią, zachwiał się, i padł na dół, na samą krawędź skały. Chcąc się tam w najsroższéj wściekłości zerwać, i znowu w górę skoczyć; ześliznął się ze ślistéj skały, i stoczył się tyłem w wodę. Tam już inni nieprzyjaciele nań czatowali. Ciągły ryk tygrysa wypłoszył był już dawno wszystkie ptactwo i co słabsze źwiérzęta, po których usunięciu się, cała skała była zupełnie pustą; tylko kilka krokodylów, zawziętych wrogow jaguara, czekało pożądliwie chwili, kiedy tenże w wodę wpadnie. Jakoż zaledwie się w rzékę zanurzył, już się dwa krokodyle na niego rzuciły, i kiedy jeden za tylne łapy go chwycił, już mu drugi głowę w paszczy swojej pogrzebał. W oka mgnieniu pornęły oba potwory w głąb z swoim łupem, i tylko mętny i krwawy wir chwilowy na wodzie, pozostał całym śladem po okropnym nieprzyjacielu Wil-

liama, i jeszcze okropniejszych sprzymierzeńcach jego w tym śmiertelnym zapasie.

William odetchnął! Dopóki natężenie sił trwało, nie czuł do jakiego stopnia one się wytężyły, i teraz dopiéro, gdy powód tego wytężenia ustał, dało mu się uczuć zupełne ich osłabienie. Wpółmartwo owisły mu ramiona, zimny pot rozlał mu się po czole i po całém ciele, dreszcz śmiertelny przejął wszystkie jego członki. W przeciągu chwil kilku przeszedł ze stanu najsilniejszéj energii do stanu zupełnego wysilenia i bezwładności. Nie pragnął już niczego, tylko spokoju; wsunął się więc do swego przemokłego, i burzą wpół już od konarów oderwanego hamaku, i położył się tam, nie aby zasnąć, bo tego gorączkowy stan mu nie dozwalał, lecz aby w głuchém osłupieniu, czekać końca swych cierpień w tej dalekiéj, od wszelkich ludzkich istot opuszczonéj pustyni.

Same tylko szare, mgliste obłoki, snujące się wokoło drzewa, i jednostajne głosy dzikich źwierząt w odległych lasach, i szum rozkołysanéj burzą rzéki, ożywiały tę odludnią; dwa sępy o łyséj, popielatéj szyi i zakrzywionym dzióbie, usiadły na drzewie naprzeciw Williama, jakby już trupa zwietrzywszy, i skrzeczały chrapliwie od czasu do czasu, jakby niecierpliwością zdjęte, że śmierć tak długo się ociąga. Wszystko to zdało się marzącemu w gorączce Williamowi przygotowaniem do blizkiéj chwili zgonu, a do tych umysłowych cierpień, przyłączyły się także fizyczne. Wszystkie członki szarpał nieznośny ból reumatyczny, powiększony jeszcze bardziéj głodem, którego pozostałą, rozmokłą strawą uśmierzyć nie mógł, chociaż ją arakiem zwilżoną, chciwie połknął. Przy coraz sroższém umorzeniu, narwał liści z drzewa i wtłoczył je sobie w gardło; czém się jeszcze większego bolu nabawił. Tak nadeszła noc wtóra. Zdawała mu się ona bez końca. Dzikie sny gnały po jego rozgorzałym mózgu. Wnet mu się pojawiała to matka to kochanka, lecz obie po tamtéj stronie rzéki, i daremnie do siebie go wzywające, gdyż między niemi miotały się spienione bałwany. Byłyżto już postacie tamtego świata, które w niebo unosząca się dusza jego widziała?

Od czasu do czasu głód i coraz bardziéj dojmujące boleści, przebudzały go z tych przedgrobnych marzeń, a natenczas wracała mu cała świadomość okropnego położenia. Nieraz nęciła go wtedy myśl zakończenia jednym zamachem obecnych i oczekujących go jeszcze cierpień; nieraz chciał się już rzucić w głąb rzéki; lecz wkorzeniony każdemu prawemu charakterowi wstręt od samobójstwa, i coraz nowo odradzająca się nadzieja zbawy, która istotnie każdéj chwili ziścić się mogła; wstrzymywały go od téj ostateczności. Tak niewymownie dręcząco i leniwo, mijała noc, a każda jéj minuta odważała mu szczodrze swoję miarę cierpienia.

Wreszcie nad ranem usnął, i zdało mu się, iż to śmierć powieki mu zamyka, i że się w ten sposób brzemienia boleści pozbędzie. W tym gorączkowym śnie mniemał słyszéć niekiedy huk dalekich strzałów, lecz ocknąwszy się, sądził, iż to były odzywające się grzmoty zbliżającéj się nawalnicy. Aż nakoniec i dzień zaświtał, a świeży wiatr rozpędził mgliste obłoki, i widać było dość daleko wzdłuż brzegów rzéki William ledwo zdołał podnieść ociężałą głowę. Okropny stan jego przedstawił mu się znowuż w całéj swéj grozie. Z wielką trudnością dźwignął się w górę, a widząc niebo cokolwiek rozjaśnione, spojrzał wokoło siebie. Ale gdy się przechylił z hamaku, i spojrzał po rzéce; rzucił się w tył mimowolnie i w głos krzyknął; gdyż z wszystkich okropności, czekała go jeszcze największa. Ujrzał ogromnego węża wokoło drzewa owiniętego, i głowę swoję na długiéj szyi ku niemu wyciągającego. Jakkolwiek był osłabionym i otrętwiałym, na tak szkaradny widok zebrał przecież tyle siły, iż się zerwał, i chciał uciekać w którąbądź stronę, lub się raczéj w bezdno rzéki rzucić, niż się dać żywcem połamać i pożréć olbrzymiemu gadowi! Jednakże mając jeszcze dość mocy do powzięcia takowego zamiaru, już mu jéj do wykonania onego nie starczyło. Zatoczył się w tył prawie bez zmysłów, a wtém trzykroć, raz po razu, jakby uderzenie piorunu, jakiś huk usłyszał tuż około siebie; szkaradny gad zniknął, a kłęby dymu wzniosły się wokoło drzewa. Williama opuściła przytomność, leżał na pół nieżywy.

Jak długo w tém otrętwieniu zostawał, tego nie wiedział, lecz zaczął powoli przychodzić do zmysłów, jakąś mocną pokrzepiając się wonią; przyczém mu się oraz zdało, iż słyszał miłe brzmienie ludzkich głosów. Powoli jął w tych głosach rozeznawać wyraźnie imię swoję wymówione. „Williamie, przebudź się!” odzywało się łagodnie z męzkiéj piersi, i „Williamie, Williamie!” dzwoniło jakieś słodkie echo z ust niewieścich. Wreszcie siła życia wróciła, otworzył oczy.

„Gdzieżto jestem? Jestemże już wybawiony, i znajduję się w niebie między błogiémi duchami?” zawołał w uniesieniu, i wpatrzył się z rozkoszą w otaczające go postacie. Byłto Perez, jego wierny przyjaciel, który go w swych ramionach trzymał, a daléj stały dwie jeszcze droższe osoby. „Żyjąż oni, albo sążto cienie rajskich przybytków? Żyjęż ja istotnie, albo przebudziłżem się w lepszym świecie! — Alfredzie! Estelo!” To mówiąc wyciągnął ku nim ręce. Perez z dwoma Zambosami zwiedli go ostrożnie z drzewa, a najdroższe dla jego serca osoby, wzięły go w swoje objęcia!

Wkrótce przyszedł William zupełnie do zdrowia.

Radość uleczyła wkrótce, co przestrach i zgroza zniedołężniły Perez opowiadał:

»Byłem z naszymi Zambosami na polowaniu, i zapuściłem się zbyt daleko w głąb lasów. Przezto nie postrzegłem nadciągającej burzy, zwiastunki pory deszczów. Dopiéro rozgłos grzmotów uwiadomił mię o tém. Było już zapóźno do ocalenia naszego statku. Porwała go szybko wzbierająca rzéka, a tak, stało się niepodobieństwem nieść ci ratunek. Szliśmy więc brzegami rzéki, chcąc odszukać łódź naszę, lub inną znaleźć. Po całonocnéj wędrówce nad samym rankiem spotkaliśmy *tych* oto" — tu wskazał na Alfreda i Estelę.

Alfred zabrał głos, i rzekł: „Od kilku tygodni idziemy w ślad za tobą...."

„Jako?" — przejął mu William — „a zkądże dowiedzieliście się o mnie? I czémże to się dzieje, że wy żyjecie, gdy przecież na własne oczy w »Monitorze" czytałem wiadomość o waszém straceniu przez gilotynę?"

„Wiadomość ta była fałszywą. Wielkiémi sumami, które przyjaciele naszéj rodziny zebrali, przekupiono dozorców więzienia. Powiodło się omamić urzędników, prowadzących nas na śmierć, i usposobić nam drogę do ucieczki w téj właśnie chwili, kiedyśmy wsiadać mieli do śmiertelnego wozu. W ten sposób wzięto nas za umarłych, podczas gdyśmy czémprędzéj z Paryża uciekali."

»A twój ojciec?" spytał William Alfreda.

„Został w ucieczce przejęty; jeszcze w więzieniu dowiedzieliśmy się o jego śmierci."

Uroczyste milczenie przerwało opowiadanie. Estela oparła głowę o ramię brata, i zapłakała.

»Wszakże przed śmiercią, w więzieniu" — mówił Alfred daléj — „zmienił się jego sposób myślenia Żalił sie częstokroć przedemną, iż nie przyjął twoich oświadczeń."

Estela spojrzała zarumieniona ku ziemi, William rzucił na nią wzrokiem miłości, i ujął ją za rękę, a wierna kochanka skłoniła głowę na jego piersi

„Ale dokończcież, dokończcie, drodzy przyjaciele, historyi mojego ocalenia; gdyż dotąd jeszcze nie wiém, jakim cudownym sposobem uszedłem okropnéj śmierci, która mi groziła »

„Słyszeliśmy —" przedłużył Alfred opowiadanie — „żeś uniknął śmierci w Paryżu, i przedsiębraliśmy wszelkie poszukiwnia twego pobytu. To zbliżyło nas wprawdzie do ciebie, ale długo nie mieliśmy nadziei dopięcia naszych życzeń. Aż przypadkiem najęliśmy ten sam domek, w którym ty wprzódy mieszkałeś Aniśmy przeczuwali, kto tam przed naszém sprowadzeniem się przebywał. Wszakże jednego poranku, wyciągając szufladkę w stoliku, wskrzykuęła w głos Estela, i przybiegłszy co tchu do mnie, pokazała mi twój pularés. Niezwłocznie więc puściliśmy się w pogoń za tobą, a tak przyjaźń, i — dlaczegożbym tego nie śmiał powiedzieć — i miłość, zaprowadziły nas do téj pustyni."

„Jakoż byłoto szczęściem" — przejął Perez — „gdyż inaczéj byłbyś niechybnie zginął, mój przyjacielu. Nasz statek zapewne teraz po atlantyckiém morzu żegluje. Tylko okrętowi, którym przyjaciele twoi tu nadpłynęli, masz podziękować, że żyjesz. Z niesłychaną trudnością przedarliśmy się nim od brzegu aż do téj skały. Kosztowało nas to cały dzień i noc całą. Ale lubośmy już przez chwilę mniemali, iż zapóźno przybywamy, ile że nie odpowiadałeś na nasze strzały sygnałowe; jednakoż dzięki Bogu, wylądowaliśmy w samą porę, kiedy boa...."

„Boa!" wykrzyknął William z przerażeniem, uczuwając znowuż całą okropność swoich cierpień

„Jużeśmy ją z moimi Zambosami po trzech szczęśliwych strzałach, w odległości dziesięciu kroków ubili" — rzekł Perez — „a potém pospieszyliśmy do ciebie, i tuśmy cię przynieśli."

»O, moi drodzy przyjaciele!" — zawołał William, i wszystkich z nowo-przebudzonym do życia zapałem i nową siłą uściskał — »jakże blizko graniczą z sobą rozpacz i rozkosz! Jednéj i drugiéj doznałem do syta w tych trzech dniach nad brzegami Orinoku. Ale na Boga! wszelkie moje przebyte cierpienia, nie są zbyt drogim okupem za tę błogosławioną chwilę!"

A łzy radości, które z ócz mu płynęły, gdy Estelę do serca przyciskał, świadczyły że prawdę mówił.

Najnowszy utwor Liszta.

Któryż z prawdziwych znawców nowszéj literatury muzycznéj, nie podziwiał czarownych utworów Liszta? Komuż nieznana jest sława, jaką sobie zjednał swojémi fantazyjami, które, jak np. owe na temata z „Roberta-Diabła", „Don-Żuana", "Normy", całą Europę okrążyły, a nie tylko szczęśliwym doborem motywów i trafną kombinacyją, ale także charakterystyczną wydatnością oryginału, służącego im w swojéj całości za źródło i podstawę; trwałą sobie wartość zabezpieczyły? Kogo nie zachwyciły owe transkrypcyje ślicznych pieśni Szuberta, Mendelsona, Bethowena, i wielu innych, odznaczające się tak głębokiém wniknieniem w ducha poezyi i tak mistrzowskiém odcieniowaniem śpiewu? Mniéj znane i upowszechnione są jego przerobienia większych sztuk orkiestrowych na fortepian, lubo w nich osięgnął doskonałość, jaką dotąd za niepodobną miano. Nikt zapewne nie usłyszy bez uwielbienia fortepianowych partycyj symfoniów Bethowena, albo uwertur Webera, nie mówiąc już o innych utworach tego rodzaju, łączących w sobie tak niezrównaną znajomość wszelkich środków i całéj doniosłości instrumentu, na który są ułożone, a oraz

tak dokładny przegląd przedłożonych partytur, że ani jednéj ważniejszéj nóty w transpozycyi nie brakuje; przyczém też kompozytor nigdy więcéj od grającego nie wymaga, niż ten właśnie przy niejakiéj biegłości łatwo wykonać może. Najmniéj zdaje się ogół muzykalnéj publiczności obeznanym być z najnowszym utworem tego wielkiego artysty, a to jedynie z powodu, iż rzeczona kompozycyja dopiéro w ostatnich czasach się pojawiła, i bez wszelkich uroszczeń i przechwałek na świat wyszła. Mówimy tu o »Trzech sonetach Petrarki« wydanych świéżo w Wiédniu u Haslingera. Im mniéj istotnie znakomitych utworów muzycznych na polu liryczném posiadamy, tém bardziéj należy się cieszyć podobném, tak co do formy jak i treści przewyborném dziełem. Tu lekkość, nadobność i zaokrąglenie form spółzawodniczą z rzewnością, namiętnością i głębią myśli, zespolając się razem w cudowną całość, która także w estetycznym względzie wszelkim wymaganiom sonetu zadość czyni. Każdy z nas wie, jaką harmoniję, jak tajemniczy urok umiał niezrownany mistrz sonetu, Petrarka, nadać téj tak ciasno ograniczonéj formie poezyi; lecz zapewne mało ktoby się spodziéwał, że z zachowaniem téj ciasnéj formy tak rzewne i głębokie uczucie da się wyrazić w muzyce. Zresztą i w wyborze owych »Trzech Sonetów« dowiódł Liszt rzadkiego taktu i prawdziwie poetycznego zmysłu, gdyż każdy z tych sonetów jest wynurzeniem innego usposobienia umysłu, lubo wszystkie trzy z jednego źródła miłości wytryskają; każdy przedstawia poetę w odmiennéj chwili, lubo zawsze tylko jedno natchnienie miłości dla Laury go ożywia. W pierwszym sonecie, którego początkowe słowa »*Pace non trovo* — Darmo szukam spokoju« dostatecznie już treść malują, wieje cały niepokój, cała niecierpliwość początkowéj miłości, nie ukojonéj jeszcze wzajemnością, a odmalowanéj przez kompozytora z niezrównaną prawdą i prostotą. Nié ma nic piękniejszego, jak np. melodyja słów »*Pascomi di dolor* — Karmię się bolem« albo »*In questo stato son donna per voi* — W takiém stanie jestem dziś przez ciebie.« — W drugi sonet: »*Benedetto sia l'giorno* — Błogosławiony ów dzień i godzina«, rozpamiętywujący w słodkim, błogim spokoju wszystkie chwile przebudzenia i rozwijania się uszczęśliwiającego uczucia; wlał kompozytor niewymowną serdeczność i lubość. To też w tym sonecie uderza najbardziéj podobieństwo charakterów poety i kompozytora; jest tam ów boski urok jenijuszu, który wszystko, ku czemu sercem się skłoni, pewnym idealnym blaskiem, niejako religijną czcią otacza. — W trzecim sonecie: »*I' vidi in terra angelici costumi* — Anielskie wdzięki widziałem na ziemi;« w którym poeta w zachwycie miłości cudnemi oddécha harmonijami, przeniósł się kompozytor w krainę rajskich marzeń, i nas też nieprzepartym czarem z sobą unosi, pojąc duszę prawdziwie niebiańską rozkoszą.

Już z téj krótkiéj wzmianki możemy wnioskować, jak trafnie i zmyślnie kompozytor słowy poety się przejął i właściwość sonetu uwzględnił. Ztąd każdy miłośnik szczeréj liryki powita z radością ten najnowszy utwor naszego mistrza, i spodziéwać się można, że osobliwie płeć piękna, która zawsze najlepiéj oceniać umié sercem, co z serca płynie, ujmie się téj kompozycyi; zwłaszcza gdy takowa nie tylko na fortepian, lecz i dla głosu z towarzyszeniem fortepianu jest ułożoną, a ułożoną w ten sposób, iż nie potrzeba właśnie być Lisztem, aby ją z przyjemnością dla siebie i dla drugich wykonać.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 18ty i zawiéra: 1) Uwagi Seweryna Horocha nad artykułem Jana Deszkiewicza: o zapobieżeniu niedostatkowi ziemniaków do sadzenia. 2) Krótkie opisanie główniejszych narzędzi ręcznych rolniczych w Anglii używanych, rycinami objaśnione. (Dokończenie). 3) O rzepach w ogólności, i o rzepie znanéj pod imieniem turnipsu w Anglii, o brukwi w szczególności. 4) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Biblioteki nauk. zakładu imienia Ossolińskich zeszyt 4ty zawiera: 1) Muzeum Natury we Lwowie, przez Wincentego Pola. 2) Przegląd dzieła: Listy o Szwecyi, pisane przez Eustachego hr, Tyszkiewicza (dokończenie). 3) Dwa listy Jędrz. Chryz. Załuskiego biskupa warmińskiego, do Jana Jabłonowskiego wojewody ruskiego. 4) Poezyje Jana Szymańskiego. 5) Powieść o życiu poety, przez Józefa Dzierzkowskiego. 6) Pamiętniki umysłowe, wydania Jana z Śliwina; przegląd K. W. Turowskiego. 7) Rozmaitości: Żywot ks. Jana Jarmusewicza, p. Kluczyckiego. Uwagi z powodu widoków Galicyi, wydanych przez Stęczyńskiego. Korespondencyja: Ze Szlązka pruskiego. Z Warszawy.

Przegląd najnowszych dzieł polskich. W Warszawie wyszły: Emilijana Rzewuskiego *Studyja filozoficzno-literackie*; zawiérające Rzut oka na tegoczesną europejską literaturę; rozprawy o Szekspirze, Byronie, Kalderonie, Kameonsie, o historyi ze stanowiska filozoficznego, o znaczeniu symboliczno tajemnéj mądrości Egiptu w historyi cywilizacyi, i t. d. — Prócz zapowiedzianego już dzieła *Pieniądze Piastów* od czasów najdawniejszych do r. 1300, przez K. Strończyńskiego, przygotowane jeszcze zostało przez J. Z., autora dzieła o monetach dawnéj Polski, pisemko pod nazwą: *Skorowidz monet Polskich* z trzech ostatnich wieków, przydatne do łatwego uporządkowania i zkatalogowania zbiorów numizmatycznych. — Józef Korzeniowski, o którego nowych utworach co miesiąca z przyjemnością donosić mamy, napisał znowuż dwie sztuki, *Isabella d'Ayamonte* dramę w 4 aktach, i *Przyjaciołki*, komedyję w 1 akcie; pierwsza była już w zeszłym miesiącu przedstawioną, drugiéj się wnet na scenie spodziéwają. — W Wilnie: ogłoszono *Odpowiedzi ks. Stanisława Chołoniewskiego na dwa pytania*: Co znaczy słowo postęp ludzkości? Jak zabezpieczyć sobie zbawienie? z dodatkiem legendy wschodniéj Słowik i róża; dzieło pośmiertne. — *Zamek w Czarnokozińcach*, powieść narodowa przez Wł. Chodźkiewicza, w 3 tom. — W Krakowie wychodzą: *Starożytności krakowskie* przez Józefa Łepkowskiego w miesięcznych poszytach po arkuszu druku, z dołączeniem rycin rysowanych przez Cerchę, litografowanych przez Balińskiego. — Tudzież Aleksander Płonczyński, wydawca *Grobów* i *Pomników* zacznie po długiéj przerwie wydawać dalszy ciąg swego pisma. — Michał Wiszniewski, którego dalsze materyjały do historyi literatury zakupił obywatel krakowski p. Macewicz, i takowe wkrótce tomami ogłaszać zacznie, przygotował do druku: *Podróż do Włoch, Sycylii, Malty*, mającą wyjść nakładem jednego z księgarzy warszawskich. — Józef Muczkowski wydaje *Liber promotionum Universitatis Cracoviensis* z rękopismu biblijoteki uniwersyteckiéj. Będzieto pierwsze dzieło kosztem uniwersytetu krakowskiego wydane. — U Czecha drukuje się: *Zamek Ogrodzieniec*, powieść przez autora »Reja z Nagłowic.«

Użyteczność praktycznego zatrudnienia opisuje sławny poeta niemiecki Immerman w następujący sposób: »Brakowało mi stałego, praktycznego zajęcia. Ztąd mimo wszelkich studyjów czułem w sobie udręczającą czczość i próżnię. Bo jak pełne kwiaty wydają się wprawdzie piękniejszemi, ale są właściwie chorowite i wcześniéj zamierają, niż pojedyńcze, tak też i człowiek niezatrudniony, chociażby najwytworniéj umysł swój zdobił, jest w najlepszym razie tylko pełnemu kwiatu podobien. Władze jego duszy wysilają się w próżne bogactwo liścia, a pominąwszy nawet, że żadnego owocu po sobie nie zostawia, sam on jeszcze ze zbytku źle zakierowanych soków, zagłusza się i niszczeje. Przeciwnie czynny zawód sprowadza siły umysłowe, któremi życie się karmi, w należyte kanały i drogi, po których one potém w zdrowe i naturalne, a tém samém Bogu i ludziom miłe kształty się rozwijają, tworząc smukłe łodygi, świeże liście i wonne kwiecie. Wszyscy próżnujący ludzie, chociażby z natury najlepszego byli usposobienia, mają, albo przybierają skłonność szkodzenia drugim, aby tylko czemkolwiek próżnię dni swych zapełnić; podczas gdy pilność, bądźto losem bądź własną wolą nałożona, nawet powszednie dusze uzacnia. Można sprawiedliwie powiedzieć, iż ona, jak magnes, ustawicznem dźwiganiem niesłychane ciężary owłada, podczas gdy lenistwo jest jako stal w pochwie, która wreszcie od rdzy strawiona bywa. Nie bez słuszności też da się jeszcze i to przytoczyć, że pracowite pszczoły, lubo ostrém żądłem od natury wyposażone, tylko gdy je kto zaczepi, kąsają, niezaczepiającemu wolne skróś roju dozwalając przejście; próżniackie zaś szerszenie każdego, nawet najspokojniejszego napastują i gryzą. Przeco nazwać można pilność przyjaciołką sobie i innym, próżniactwo zaś wrogiem sobie i światu.«

Zastosowanie siły elektro-magnetycznéj do telegrafów nabywa w Zjednoczonych Stanach coraz większego rozprzestrzenienia, ile że tém żadne zakazy i bojaźliwe dozorowanie temu się nie sprzeciwiają. Dziennik »*Galignani's messenger*« donosi o tém: »Założono elektro-magnetyczną linię przez góry Allegańskie między Filadelfiją a Pitsburgiem, na rozległości 300 mil angielskich, a osiągnięte tém korzyści przechodzą wszelkie oczekiwanie. Wieczorne obrady kongresu w Washingtonie bywają nazajutrz rano w dziennikach Pitsburskich ogłaszane, a toż samo dzieje się ze wszystkiemi wiadomościami z większych miast nad wybrzeżem atlantyckiém. Poselstwo prezydenta do stanów jeneralnych Nowego Jorku było w Albany dnia 7 stycznia przedłożone, i zajęło półtoréj kolumny ścisłego druku; a już we dwie godziny późniéj wyszło ono za pomocą telegrafu elektrycznego z pod prasy drukarskiéj w Nowym Jorku. Zebrało się nowe towarzystwo o dostatecznym kapitale, w celu zaprowadzenia komunikacyi telegraficznéj między Nowym Jorkiem, a Orleanem, Richmondem, Charlestone, Mobile i t. d. Niektóre z dawniejszych towarzystw tego rodzaju płacą za czas pięciomiesięczny czystą dywidendę 3 od sta, potrąciwszy już wszelkie koszta przedsiębiorstwa, jakoteż znaczną premiję, wyznaczoną właścicielom patentu.«

O młodych damach angielskich które ostatniémi czasy wielokrotnie za wzór przedstawiano, mówi pewne pismo angielskie: Anglicy lubią wygodę i spokój; z tego powodu bywają u nich dzieci zazwyczaj w osobném skrzydle domu umieszczane. Aż do siedmnastego roku są dziewczęta od spólnego obiadu rodzicielskiego wykluczone, i muszą przy dziecinnym jeść stole. Szkodliwy zdrowiu zwyczaj angielski obiadowania o 6 albo 7 godzinie z wieczora czyni to poniekąd potrzebném. Gdy wreszcie córeczce latek, układności, francuzczyzny i tuszy przybędzie, i zajdzie już wątpliwość, czy ją dzieckiem, dziewczyną, albo młodą damą nazywać; wtedy otwiera się jéj droga do rodzicielskiego salonu. Wszakże nie będąc jeszcze zupełnie w świat wprowadzoną, czyli jakto Anglicy mówią »*out*«, siedzi ona tam mało zważana w kącie, chociażby nawet młodzi paniczo dawno już chętkę przymówienia się do niéj miłém słówkiem poczuwali. Naostatek zbliża się owa szczęśliwa chwila, kiedy ostatnie szranki padają — koniec siedmnastego roku. Chwila ta bywa obchodzona rodzinnym festynem, na którym się towarzystwu pełnoletność panny ogłasza. Jeżli to jest córka zamożnego, znanego domu, natenczas bywa jéj »*coming out*« — wprowadzenie w świat — w gazetach oznajmione. Młoda panienka, będąca już »*out*«, zasiada z matką przy stole, i występuje w salonie. W czasie obiadu musi niekiedy ćwiczyć się w sztuce krajania, która ciągle jeszcze ważną rolę w szczéro-angielskich domach odgrywa, i może już bez obawy swoje uwagi i postrzeżenia przy stole wynurzać. Wszelkie zaprosiny na obiady, bale, wieczory i t. p. tyczą się już i córki, któréj imię wraz z nazwiskiem matki na biletach wizytowych się mieści, i na którą, odkąd jest »*out*«, niezliczone spływają zaszczyty. Alež wiele surowych lub politycznych matek nie pozwala swoim córkom długo być »*out*«, niekiedy nawet po ośmnasty i dziewiętnasty roczek. Od chwili wprowadzenia córki do salonu bywa ona już za zdolną do stanu małżeńskiego uznaną, a skoro jest majętną i ładną, idzie zazwyczaj niebawem za mąż. Ta ostatnia okoliczność zdarza się nie tylko u Anglików, ale też i u innych narodów.

Wąsy środkiem przeciw suchotom. Jeżli zapewnieniu angielskiéj »*Naval-and Military Gazette*« wiarę dać mamy, nie masz dla cierpiących na płuca nic zbawienniejszego, jak noszenie wąsów. Według tego dziennika, wąsy, byle dość były gęste i krzaczyste, są częścią organów oddechowych, i służą do odejmowania powietrzu szkodliwéj ostrości i zimna, zanim takowe nosem w piersi wnika. Jakoż uczyniono w Anglii postrzeżenie, że w pułkach, w kórych noszenie wąsów jest zaprowadzone; daleko mniéj chorób płucowych się zdarza, niżli w innych.

Trafna odpowiedź. Sławny uczony Salomon Maimon, kupił raz psa za kilka talarów. Nie podobał on mu się jednak, przeco sprzedał go wkrótce pewnemu miłośnikowi, który mu 5 talarów dał za niego. »Jak widać« — rzekł ktoś do mędrca — »masz większe szczęście w handlu psami niżli w pisaniu książek.« — »To ztąd pochodzi« — odpowiedział Maimon — »że daleko więcej ludzi zna się na psach niż na książkach.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Kralłera.

Drukiem Piotra Pillera.